

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (33)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Kolejne spotkanie zdarzyło się w 1985 roku w pałacu w Jankowicach koło Poznania (w bogatej gminie Tarnowo Podgórne). Stamtąd została mi na trwałe w pamięci wypowiedź rzecznika rządu, że dlatego przyjeżdża do nas, bo podczas wakacji członkowie rządu mają obowiązek spotkania „ze społeczeństwem”, z tym że jest ustalona jakaś lista (tego społeczeństwa) do wyboru. On wybiera dziennikarzy studenckich, gdyż to najbliższa mu grupa zawodowa, a w przyszłości być może staną się jego politycznymi partnerami lub współpracownikami, bądź odbiorcami przekazów jako rzecznika. Jerzy Urban gościł również na następnych naszych warsztatach, w Cędzinie koło Kielc czy w Chełmie. Dość zabawna historia zdarzyła się w 1988 roku w Chełmie. Rzecznik postanowił wówczas przejść się po mieście głównymi ulicami, wiedząc doskonale, że wywoła sensację. Zdaje się, że poszedł też na targowisko... Pytany później o tę swoistą prowokację odrzekł, iż nie czuł obaw. Ochroniarza miał, zdaje się, tylko jednego, który był jego kierowcą.

Dla mnie, jako prowadzącego warsztaty, kłopotem było podjęcie jakiegokolwiek mniej oficjalnej, nie mówiąc już o prywatnej, rozmowy z J. Urbanem, gdyż w obowiązkach miałem zwykle organizację spotkania, pilnowanie jego przebiegu (ćwiczyliśmy „na żywo” konferencje prasowe z Urbanem), pożegnanie gościa etc. Jeden krótki prywatny moment zdarzył się w Olsztynie-Kortowie, czyli ośrodku akademickim, gdzie po raz kolejny odbywała się „Soczewka”. Otóż do Kortowa minister przyjechał ze swoją świeżo poślubioną małżonką, Małgorzatą Daniszewską. Parę minut przed spotkaniem, w niewielkim gronie, czekaliśmy na skwerze przed akademikiem i rozmawialiśmy, a ktoś trzasnął zdjęcie. Oprócz państwa Urbanów i mnie w rozmowie uczestniczył Robert Kwiatkowski, późniejszy prezes Telewizji Polskiej. Było to 26 lipca 1986 roku.

Chciałem dla żartu tę fotkę – w czasie tzw. afery Rywina i modnego wtedy powiedzenia „grupa trzymająca władzę” – zamieścić w gazecie, w której pracowałem, ale redaktorka odrzuciła tę propozycję. Pod pretekstem, że Kwiatkowski jest już bardziej łysy...

Jak widać, tych spotkań miałem sporo, lecz korzyści dla siebie – w sensie np. publikacji wywiadów, wypowiedzi rzecznika – żadnych. Stąd w pewnym momencie, gdy pracowałem w Białymstoku, postanowiłem umówić się na wywiad z J. Urbanem, wtedy już naczelnym tygodnika „Nie”. Pojechałem do redakcji na ul. Poznańską, wywiad przeprowadziłem, lecz muszę przyznać, że w zawodowym życiu nigdy nie byłem tak spięty. A przecież „kilka” wywiadów miałem już na koncie... Co dziwne, w swojej wydanej niedawno drukiem bibliografii znajduję ślad po innym wywiadzie z J. Urbanem, wydrukowanym w tygodniku suwalsko-mazurskim „Krajobrazy”. Tylko że za Chiny nie pamiętam, gdzie i kiedy go przeprowadziłem. Telefonicznie? A może podczas wspomnianej wizyty zebrałem materiał na dwa wywiady? W każdym razie oba ukazały się w 1991 roku. W jednym mowa o procesie sądowym z księdzem w Suwałkach, w drugim zaś jest m.in. zapowiedź powołania ruchu politycznego NIE – Niezależnej Inicjatywy Europejskiej, którego szefem został Piotr Gadzinowski, zresztą kolega z czasów „ITD”.

Po latach naszedł mnie pomysł – był rok 2000, a w mojej gazecie zbierano propozycje specjalnych tematów do wydania świąteczno-milenijnego – żeby napisać o Jerzym Urbanie w życiu prywatnym. Pojechać do niego, porozmawiać, zobaczyć dom w Konstancinie, zrobić odpowiednie zdjęcia. Dostałem zielone światło. Pojechałem. Całą ekipą, z Pawłem Janczarukiem jako fotoreporterem, i kierowcą, panem Michałem. Najpierw do redakcji na ul. Słoneczną (teraz redakcja jest znów na ul. Poznańskiej), gdzie wypiliśmy po herbatce, a potem do domu redaktora. Zapytał, czy wolimy nasz służbowy samochód, czy może mamy ochotę przejechać się z nim jaguarem. Wybraliśmy jaguara, tylko redakcyjny kierowca musiał nadążyć za Jerzym Urbanem i jego wypasioną bryką. Posiadłość okazała się spora. Przy bramie nieduży obiekt ochrony. W sporym ogrodzie dwa budynki: gospodarzy i gościnny. W gospodarstwie domowym zaś legalna, czyli opłacana z ZUS-em służba. Do jej pomieszczeń (trzy, cztery stopnie w dół) został skierowany pan Michał. Usiedliśmy w salonie z wielkimi jak ściana oknami. – W razie czego nic panu nie grozi, szyby są pancerne – zapewnił J. Urban w czasie „rozgrzewki” do pytań. Opowiedział, że pod dom podjeżdżają całe wycieczki i „oglądają Urbana”. Tematy i szczegółowe zapytania – co mi się bardzo rzadko zdarzało – miałem zapisane na dwóch, trzech kartkach. Gadaliśmy dwie godziny. Paweł – o co się wkurzałem – nic nie pomógł w trudnych momentach, gdy język mi kołowaciał; siedział cicho i pstrykał. Potem obeszlśmy dom. – Tylko nie każcie mi wchodzić do basenu, gdyż jestem przeziębiony – prosił gospodarz, widać przyzwyczajony do najdziwniejszych życzeń prasowych

gości. Obeszliśmy wszystkie pomieszczenia, po czym pan Jerzy zaproponował kolację. Zamówił telefonicznie w kuchni. W tym czasie przybyła do domu „z miasta” jego małżonka. Ponieważ wiem, że związana była rodzinnie z Białymstokiem, zapytałem, co tam słychać nad Białką. Zjedliśmy, pogadaliśmy sympatycznie, na koniec gospodarz wytłumaczył kierowcy, jak dojechać bezpośrednio do drogi na Poznań, nie wracając do stolicy. Na tym wizyta się zakończyła. Reportaż ukazał się pod tytułem „Życie na pokaz” („Gazeta Lubuska” 2000 nr 303). Widziałem ludzi stojących przy kiosku „Ruchu” na ulicy z otwartym egzemplarzem gazety. Charakterystyczna była reakcja mojej mamy: – Taki wstyd! Cała rodzina w Zielonej Górze to czytała!

Jerzy Urban, ur. 3 sierpnia 1933 roku w Łodzi. Dziennikarz, redaktor, satyryk, polityk. Studiował dziennikarstwo na UW (1951-1954), jednak studiów nie ukończył. Pracę rozpoczął w 1951 roku w piśmie „Nowa Wieś”, następnie było „Po Prostu”, od 1961 roku w „Polityce”. W latach 1981-1989 był rzecznikiem prasowym rządu. Od kwietnia do września 1989 roku przewodniczący Radiokomitetu. W 1990 roku założył tygodnik „Nie”, którego był redaktorem naczelnym i właścicielem.

Jerzy Turowicz

Pewnego razu na początku lat 90. XX wieku wsiadłem do pociągu relacji Warszawa – Kraków...

Już na początku dygresja. W 1991 roku ukazała się, dzięki wsparciu Fundacji Kultury Polskiej, książka – dokument pt. „Wigry. Kultura i środowisko. Spotkania 1977-1990”. Przygotowałem ją do druku wspólnie z prof. Andrzejem Strumiłłą. Dzięki koneksjom pana Andrzeja, promocja naszej pracy miała się odbyć w krakowskim oddziale Fundacji Kultury Polskiej, jeżeli się nie mylę, funkcjonującym na ul. Kanoniczej. Po wydrukowaniu książki w Białostockich Zakładach Graficznych, z pachnącym jeszcze świeżą farbą nakładem (oczywiście nie całym, ale i tak ciężar był spory, bo papier kredowy) jechałem na promocję. Wystartowałem z Białegostoku, w Warszawie przesiadłem się na Centralnym do ekspresu w kierunku Krakowa. Wchodząc do przedziału, zgodnie z miejscówką, od razu zauważyłem nietypowe towarzystwo. Zwłaszcza jedną z postaci, wtedy powszechnie znaną ze względu na polityczne, gdyż publicznie, przed kamerami, bezsensownie nakrzyczał na nią Lech Wałęsa. Mogę zatem z całą pewnością stwierdzić, że koło okna siedział Jerzy Turowicz, redaktor naczelnny „Tygodnika Powszechnego”. W przedziale, jak mi się wydaje, podróżował również znany pisarz Artur Międzyrzecki i jeszcze ze dwie osoby, wszyscy potem przez całą drogę ze sobą rozmawiali. Usiadłem, pociąg ruszył.

cdn.